

WIT
SZOSTAK
STO DNI BEZ SŁOŃCA

WIT

SZOSTAK

STO DNI BEZ SŁOŃCA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2014

Copyright © 2014 by Wit Szostak
Copyright © 2014 by Powergraph
Copyright © 2014 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Zdjęcie na I okładce: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
„Firma Księgarska Olesiejuk” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25
powergraph.pl
sklep.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-11-0
Printed in Poland, EU

O Finneganach

Finnegany wyrastają samotnie na Atlantyku niczym niechciane, porzucone dzieci Hebrydów. Irlandczycy z hrabstwa Donegal mówią o nich „poza horyzontem”. Na Finneganach jest tylko jeden uniwersytet, choć niektórzy uważają, że nawet ten jest niepotrzebny.

Archipelag siedmiu wysp znajduje się ponad sto kilometrów na północny zachód od wybrzeży Irlandii; na każdej leży rybacka wioska, czasem ruiny budowli megalitycznych; tylko jedno miasteczko z prawdziwego zdarzenia: wybrzeża chłostane falami, wzgórzka porośnięte zieloną trawą, owce.

O transporcie morskim

Dojechać tam trudno. Najpierw samolotem do Belfastu, potem autobusem do Derry, następnie autostopem do niewielkiego Mean Laragh, skąd odpływają promy na Tory Island. Dalej kutrem rybackim albo statkiem pasażerskim, który kursuje tylko raz na tydzień. Tego właśnie nie wiedziałem i spędziłem w West Town kilka smutnych dni, gdyż na dodatek wszystkie kutry były w morzu. Wreszcie przyplłynął statek i po kilku godzinach znalazłem się u celu. Już w Belfaście zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem. Mogłem wprawdzie wybrać krótszą i mniej męczącą drogę, ale zostałem wprowadzony w błąd przez informację turystyczną.

O wyspie

St. Brendan College mieści się w dawnym klasztorze benedyktyńskim, który w XIII stuleciu wyrósł na gruzach wcześniejszego kompleksu iroszkockiego. Uniwersytet założył w XVIII wieku niestrudzony biskup Berkeley, kiedy upadł jego projekt szkoły na Karaibach. Republika Irlandii utrzymuje kilkunastu uczonych, na wyspę wysyła się stypendystów i doktorantów; lokalnych studentów jest niewielu.

Newport to niewielka osada. W zatoce port rybacki, wokół niego domki na nabrzeżu i kilka niknących szybko bocznych uliczek. Jedna tylko, Main Street, prowadzi na wzgórze, gdzie wznoszą się zabudowania uniwersyteckie. Wzdłuż niej przycupnęły w dwóch szeregach jednopiętrowe domki, gdzie gościnne wdowy wynajmują wykładowcom pokoje. Ja trafiłem na korpulentną panią

Magee. Na parterze mieścił się niewielki sklep z lokalnym tweedem, w którym prawie nigdy nie widziałem klientów, w głębi pokoje pani Magee, a na piętrze, już pod skosami niewysokiego dachu, mój pokoik i mikroskopijna łazienka.

O przyczynie przyjazdu

To miał być dla mnie cały świat na długie miesiące semestru zimowego. Byłem przekonany, że padłem ofiarą jakiejś biurokratycznej pomyłki w fundacji, która przyznawała stypendia w ramach programu „Teachers Mobility”, umożliwiające wykładowcom z krajów Unii Europejskiej tymczasową zmianę naturalnego środowiska akademickiego. We wniosku trzeba było zgłosić dokładny sylabus wykładów i miejsce planowanego wyjazdu. Ja zaznaczyłem Oxford, jako drugą możliwość podając ewentualnie Cambridge. Zapewne ktoś musiał zawieruszyć gdzieś te sugestie i otrzymałem decyzję o skierowaniu mnie do St. Brendan College w Newport.

Wyznaję, że nie wiedziałem wcześniej o istnieniu tego uniwersytetu, miasteczka, a nawet archipelagu Finnegan Islands. Nie ma go w moim atlasie, milczy o nim

Wikipedia. Ale mimo to jest. Tam właśnie spędziłem cały semestr, walcząc z melancholią, pożądaniem i niemocą twórczą. I nawet jeśli to wszystko niewielu czytelnikom wyda się interesujące, właśnie o tym chcę opowiedzieć.

O pani Magee

Salonik pani Magee wychodził na niewielki ogródek, otoczony, jak wszystko w Newport, szarym kamiennym murkiem. Pośrodku starannie utrzymanego trawnika rosła karłowata palma, jeden z niewielu na Finneganach dowodów na łagodne działanie Golfsztromu. Jak wynika z moich notatek – które starałem się prowadzić codziennie, narzucając sobie miłą dla umysłu rutynę – przez sto dwadzieścia dni mojego pobytu na wyspie tylko piętnaście z nich minęło bez deszczu. Wszystko wokół było wilgotne, a świsty morskich wiatrów towarzyszyły mi przez cały czas.

Pani Magee zapraszała mnie popołudniami do swego saloniku, gdzie siadaliśmy przed kominkiem i popijaliśmy herbatę. Mało mówiła, potrzebowała tylko czyjejś obecności. Wiem, że przede mną mieszkało u niej

wielu wykładowców, po jednym znalazłem nawet jakieś drobne przedmioty w szufladzie biurka. Kiedy pani Magee odzywała się wreszcie, wspominała swego męża, który był rybakiem. Mówiła, że zginął przed półwieczem u wybrzeży Grenlandii, podczas polowania na wielkiego kaszalota. Ponoć w grzbiet wieloryba wbite były harpuny sprzed dwustu lat. Tak w każdym razie mówili pani Magee ci, co przeżyli.

Moja gospodyni miała bez mała osiemdziesiąt lat, choć zachowała sprawność aż do końca. Z rzadka skarżyła się na cokolwiek. Codziennie rano chodziła na zakupy z wehnianą torbą przewieszoną przez ramię, wspierając się na drewnianej lasce. Z jej kuchni najczęściej dochodził zapach ryb, podobnie jak z większości kuchni Newport. Poza darami oceanu można też było u niej dostać baraninę; pomiędzy surowymi skałami na wszystkich Finneganach wypasano owce.

Po dwóch próbach korzystania z kuchni pani Magee zacząłem się stołować w położonym niedaleko pubie, gdzie z radością wszedłem w monotonię *irish stew* i *fish and chips*. Polubiłem to proste jedzenie, popijane guinnessem. Toby McGraw gotował dobrze, choć niewymyślnie. Chciałbym powiedzieć, że Finnegany słyną ze znakomitej baraniny, ale te wyspy z niczego nie słyną; choć baranina jest tu wyborna.

O przemianie duchowej

Kiedy pierwszego dnia po przybyciu obszedłem całą wyspę, posmutniałem. Wyglądała jak więzienie, a ja poczułem się jak Napoleon na Świętej Helenie. Za wzgórzem, na którym stał gmach uniwersytetu, znajdowało się urwisko, o które rozbijały się fale. Byłem odcięty od świata. Ale nie trwałem długo w tym przygnębieniu. Nie należę do ludzi, którzy łatwo popadają w depresję, na ogół staram się dostrzec w swoich przeżyciach pozytywną stronę. Nie zawsze jest to łatwe, ale drogą wytrwałego treningu udoskonaliłem tę posiadaną od dziecka umiejętność.

Postanowiłem, że odosobnienie dobrze mi zrobi, usunięcie się z zawrotnego pędu współczesnego świata pozwoli przemyśleć własne życie i zobaczyć, co w nim jest istotnego. Poczułem się jak pustelnik, który dobrowolnie

oddala się od ludzkich skupisk, by w samotności przemierzać rozległe przestrzenie własnej duszy, szukając spokoju i Boga. Ja nie wierzyłem w Boga, ale plany wędrówek po licznych i nieznanym mi zaułkach mego bogatego wnętrza bardzo mnie ekscytowały. Liczyłem, że wrócę z Finneganów mądrzejszy i dojrzałszy; nie pomyliłem się i tak też się stało.

Wiele spraw zrozumiałem i przemyślałem, przewartościowałem też sporo dawnych sądów i pozbyłem się wielu fałszywych mniemań. Z radością zrzucałem resztki dawnego siebie niczym wylinkę, otrząsając się z nagromadzonych warstw duchowego brudu. Przede wszystkim zaś poświęciłem się pracy, nie mogąc już szukać wymówek w codziennym zagonieniu.

O pracy

Do moich obowiązków należało przeprowadzenie czterech godzin zajęć tygodniowo, przygotowanie ich, a także pozostawanie do dyspozycji studentów przez dwie godziny w tygodniu. Raz na tydzień dziekan O'Grady zwoływał zebranie wszystkich wykładowców. Podczas niego rozmawialiśmy o sprawach naukowych i organizacyjnych. Kolejni zaproszeni wykładowcy prezentowali społeczności uczonych swoje projekty badawcze, po czym szliśmy na obiad do wspaniałej rybnej restauracji, którą prowadzono w hotelu Brendan's Toe przy samym porcie.

Lubiłem te popołudniowe godziny, kiedy siedzieliśmy po posiłku w fotelach obszernego lobby, paliliśmy fajki i rozmawialiśmy o wysokiej kulturze. Czułem, że tu, na zapomnianych nawet przez meteorologów rubieżach,

bije serce świata Zachodu. I gdyby ktoś zajrzał przez zaparowane okna hotelu do jego wnętrza, z pewnością potwierdziłby moje słowa. Mężczyźni ubrani w tweedowe marynarki, poważne dyskusje i ta nieskrępowana postmodernizmem szczerą miłość do literatury i sztuki. Może byliśmy naiwni, może byliśmy anachroniczni. Ale w tamte popołudnia to nie miało żadnego znaczenia. Czuliśmy się strażnikami upadającego imperium, spadkobiercami wciąż żywej tradycji.

Jak widać, wszystkie moje zajęcia przewidziane kontraktem mogły mi wypełnić co najwyżej jeden dzień. Resztę czasu miałem dla siebie i postanowiłem usiąść do monografii, której projekt kołatał się po mojej głowie od kilku lat. Zgłaszając się do programu wymiany międzyuczelnianej, zaproponowałem cykl wykładów poświęcony Filipowi Włócznikowi, wybitnemu polskiemu pisarzowi fantastycznemu. Twórczość tego fetowanego w kraju i niestety nieznanego poza jego granicami prozaika zasługiwała na rzetelne opracowanie. Jego zmagania z demonami wyobraźni domagały się dogłębnego zbadania. Rozpisana na kilkanaście wykładów problematyka zaczęła mi się z czasem rozrastać i kolejne puste dni na Finneganach zaowocowały wykrystalizowaniem się gotowego planu monografii. Zabrałem ze sobą oczywiście wszystkie dzieła Włócznika, w komputerze miałem recenzje jego powieści i nieliczne poświęcone mu w Polsce szersze omówienia (z czego większość stanowiły moje własne artykuły).

I tak, zupełnie nieoczekiwanie, pomysł – który miał być tylko pretekstem do wyrwania się na kilka miesięcy z dusznego środowiska macierzystego wydziału – stał się przygodą, która wypełniła mi krótkie dni i długie noce w Newport. Do późna siedziałem przy biurku i stukając w klawiaturę laptopa, wnikałem coraz głębiej w wymyślane światy Filipa Włócznika. Nie muszę dodawać, że kilkakrotnie zmieniałem swój pogląd na jego twórczość, a pogłębiony namysł nad tekstami źródłowymi wywrócił nie tylko moje wcześniejsze interpretacje, ale też całą krajową recepcję pisarza. Cieszyłem się jak każdy humanista na tę małą i niewinną rewolucję, którą rozpętałem publikacją mojej skromnej monografii. Dni mijały szybko, a macki melancholii trzymały się z dala od mej izdebki na poddaszu.

O wdowich plecach

Mam świadomość, że powyższe akapity pozwoliły uważnemu czytelnikowi zorientować się, z kim ma do czynienia. Ten lapidarny wstęp nienachalnie szkicuje sylwetkę młodego i utalentowanego humanisty, obdarzonego żywą inteligencją, taktem i poczuciem estetyki; rozkochanego w tradycji i wierzącego w dawne wartości; skromnego, choć przecież świadomego swej wartości i kielkującej wielkości. Jeśli czytelnik zaczął wyobrażać sobie taką właśnie postać, to śpieszę zapewnić go, że to wszystko prawda.

Dlatego też z niejakimi oporami muszę wprowadzić w tę opowieść obcą nutę, mając świadomość, że może ona zafałszować wiodący temat muzyczny. Otóż już w pierwszych dniach mego pobytu na Finneganach gospodyni, dobra pani Magee, zwróciła się do mnie